



## UDRĘKA

**Z**ASTANAWIAM SIĘ, czy jest ktoś taki, kto naprawdę oczekuje od współczesnej literatury polskiej rozeznania współczesnej polskiej rzeczywistości?

Przed ponad stu latami czytelnik, pochylony nad książką Balzaca, dowiadywał się z niej, co dzieje się w tej chwili na ulicy za oknem. Literatura objaśniała mu sens tego, co pod postacią oderwanych okrucichwów składało się na przeżywaną codzienność.

Obecnie czytelnik, pochylony nad książką, dowiedzieć się może najczęściej tego, co dzieje się w umyśle pisarza, pochylonego nad tekstem, który właśnie pisze.

Oczywiście uogólnienie to. Jak każde, które obejmuje zbyt wielkie obszary zjawisk — a takim wielkim obszarem jest przecież literatura — nie jest całkiem ścisłe. Ale na tym mniej więcej terenie mieści się to, co można by określić jako kryzys realizmu w piśmiennictwie polskim, a

co za tym idzie kryzys zaufania do piśmiennictwa jako źródła wiedzy o życiu.

Widzowie, którzy chodzą do teatru „Komedia” na Żoliborzu, na sztukę pt. „Romanca” młodego autora Jacka Chmielnika, poddawani są dosyć osobliwemu eksperymentowi. Oto sztuka zaczyna się w klimacie tradycyjnej hiszpańskiej opowieści o miłości, honorze i szpandzie — coś z Calderona czy Lope de Vegi — deklamowanej regularnym wierszem, publiczność pracowicie pragnie się wciągnąć w tę opowieść, gdy wtem na widowni pojawia się intruz, przerywający spektakl głośniejszymi westchnieniami nudy i zgrozy zarazem... Nie będę opowiadał dalej tego happeningu, trzeba jednak widzieć reakcję normalnej, biletowej i wycieczkowej publiczności! Z krzesel zrywają się już po chwili „aktywiści”, pragnący usunąć z widowni intruza, na którego głowę sypią się szczerze obelgi z ust ludzi, którzy przyszli tu spędzić „kulturalny” wieczór. „Kulturalny” — to znaczy pograżony w klimacie całkowitej, klinicznej abstrakcji, udawanego zainteresowania dla dawno wygasłej miłości jakiego kawalera do jakiejś seniority, zatopiony w namaszczonej nudzie.

Sztuka, aby być „kulturalna”, nie musi być — zdaniem tych widzów — ciekawa, a już tym bardziej nie musi zdradzać żadnego pokrewieństwa z tym, co dzieje się za murami teatru. Kultura w potocznym przekonaniu może, a kto wie, czy wręcz nie powinna być nudna, stając w życiu odbiorców dodatek całkowicie bezinteresowny, do niczego nie potrzebny, nie wiążący się z niczym realnym.

Coś z tego podejścia, które demonstrował teatr, odnosi się także do literatury. Pojawiało się w ostatnich latach kilka znaczących książek

znanych pisarzy, większość z nich jednak odnosi się do czasów, gdy pisarze ci byli jeszcze po prostu ludźmi, zaplątanymi w normalne życie swoich czasów. Z literatury polskiej łatwiej dowiedzieć się, gdzie można było dobrze zjeść przed pierwszą wojną światową we Lwowie lub Stanisławowie, niż dlaczego trujemy się w średnio-wiejskim barze „Prawa”. Zależnie od generacji, do których należą pisarze, coraz więcej wylania się „światów minionych”, opisywanych ze smakiem i poczuciem harmonii, przy czym — jak przekonuje nas ostatnio popularna w radio piosenka — owym „światem minionym” mogą stać się już dzisiaj nawet lata sześćdziesiąte; ktoś by przypuszczał, że ów smętny, napiętnowany znamieniem postępującego marazmu, frustracji, a potem już jawnego lądactwa okres w naszym życiu stanie się opromienionym blaskiem sentymentu naszym szalonym „fin de sièclem”? Czytelnicy współczesnej literatury polskiej — a ciągle przeciętą są tacy, pomimo cen książek, ich wieloletnich cykli produkcyjnych i osławionego podatku, który „w warunkach reformy” (wszystko tłumaczy się obecnie „warunkami reformy”) obciąża ma w drakońskim stopniu także działalność edytorską, to znaczy, w rezultacie, kieszeń czytelnika — a więc czytelnicy literatury polskiej pogodzili się już widać z tym, że biorąc do ręki książkę wydaną wczoraj wykonują gest, jakby szli do muzeum. Idą tam po „kulturę”, a nie po wiedzę o tym, co dzieje się dookoła nich i z nimi samymi.

I oto na tym tle — któremu nie zamierzam odmawiać osobliwego uroku, bo kultura naprawdę to RÓWNIEŻ muzeum, to TAKŻE świadomość historycznie minionego czasu — wpadła mi do ręki nowa książka Tadeusza Siejaka pt. „Pustynia”. Siejak nie jest debiutan-

tem. „Pustynia” to jego trzecia książka, po „Oficerze” i „Próbie”. Tamte budziły podejrzenie — umieszczone zresztą tylko po stronie pełnych naiwnej nadziei czytelników jak i czujnych nadzorców — że w osobie Siejaka zjawia się pisarz niepokorny, niegrzeczny, a także — co może ważne — wcale nie pisarz „rasowy”, to znaczy moszczący sobie od młodości ścieżkę poróżd obowiązków stylizacji, lecz człowiek, zamieszany w życie współczesne, wpisany bez reszty w to, co za oknem, i wydający stamtąd uporczywy okrzyk zdumienia i grozy.

Książka Siejaka jest książką o udręce. Ale ta udręka nie jest metafizyczne przecucie Wszechświata ani egzystencjalny paradoks ludzkiej śmiertelności. Jego udręka nazywa się Zakład Techniki Ochrony i Wykorzystania Środowiska i jest to nazwa równie sensowna lub równie niedorzeczna jak tysiące podobnych, widniejących na czerwonych tabliczkach przybitych na fasadach urzędowych gmachów lub skleconych byle, jak baraków na placach budów. Ten Zakład coś buduje, ma swoich robotników, majstrów, inżynierów, dyrektorów. W jego wnętrzu rozgrywają się dramaty ludzkich marzeń, dążeń, karier, upadków. Nad Zakładem unosi się jakaś centrala, jakieś kawu, jakiś wojewoda i ta centrala, kawu, wojewoda stanowią dla ludzi, pracujących w Zakładzie wcale nie gorszy nieboskłon, niż dla Kanta jego „gwiazdziste niebo”. Nie jest to przy tym perspektywa naiwna. Tak, jak na „gwiazdzistym niebie” nie dla wszystkich unosi się Bóg, tak samo w gabinetach („ściany na baranka”, „boazeria dęb”) nie mieści się emanacja doskonałości. Jest to jednak rzeczywistość prawdziwa, niezależnie od jej pochodzenia czy też charakteru.

„Bo uczeni polscy. Uwieńczyli sukcesem swoje wieloletnie wysiłki. Nad znalezieniem. Tajemnicy. Istoty eksploatacji sytuacji. I doszli. Do wniosku. Ze tylko osobniki genialne. Potrafią. Zrobić pożytek z gówna. Które spadło na głowę władzy. W ich kłępującej obecności. Co jest przykładem ilustrującym. Tezę. I ludowe przysłowie. Ze choćby gówna z nieba leciały. To my i tak zrobimy swoje.”

„Pustynia” Siejaka nie jest groteska, chociaż przytoczony fragment brzmi groteskowo. Jest, jak powiedziałem, obrazem udręki. Tej udręki, którą niosą w sobie co rano ludzie do szarych bloków, które starają się omijać ze zgrozą. Siejak stara się rozebrać tę udrękę na czynniki pierwsze i nie przypisuje jej cech nadprzyrodzonych. Jest to dla niego w pierwszym rzędzie udręka tandety. Tandety człowiek wykonuje tandetny wyrób. O ten tandetny wyrób potyka się następny, który swoją tandetą odplaca tamtemu. Jest z tym kupa śmiechu, owszem, jest także osobliwa mądrość, jak żyć w tym wszystkim, przyjąć reguły gry, zrozumieć nieuchronne.

„Stary! U nas jest dobrze, jak ples szczeka, dom stoi a samochód jedzie. Nikt nie pyta jak. Słowo starego akowca, w Polsce nas to zadawała.”

Anglosasi używają określenia „grass-roots”, korzenie trawy. „Grass-roots” to jest coś najbardziej swojskiego, a zarazem najbardziej przyziemnego. „Pustynia” Siejaka jest książką o naszych „grass-roots”. Napisana jest dojrzałym, wyszukany nawet stylem dorosłego pisarza, stylem którego — mówiąc szczerze — w innych okolicznościach bym nie znosił, bo nie noszą wulgaryzmów na pokaz, obsce-

nów na pokaz, epatowania chamgłwem, jak to czynią podstarzały pisarze „hiaskoldzi”, udając przez to siłę. Ale u Siejaka ten styl jest uzasadniony. Ludzie są wulgarni, bo się wstydzą. Swoimi okropnymi „Jobami”, pozornie rechołliwym rynsztokiem, który wydobywa się z ich ust, pokrywają zażenowanie, że to co robią robią głupio, że to czym żyją jest płaskie. Usprawiedliwiają się przed sobą samymi za siebie samych. Myślę, że Siejak doszedł tutaj do istoty tego, co nazywa się upadkiem obyczajów, chociaż w jego powieści nie ma nikogo „upadłego” i wszystkich jego bohaterów spotykamy codziennie na ulicy, na klatce schodowej, na naradzie czy posiedzeniu jako ludzi normalnych, w porządku i na miejscu.

Żyjemy w czasach ekscytacji przemianami, których ekonomiczna przede wszystkim część dociera do naszej świadomości. Ekonomia jednak — ulubiony obecnie temat — jest przecież jedynie instrumentem, służącym kategorii wyższej, którą jest jakość życia. Umyślnie nie mówię tu o „celu życia”, „sensie życia” itd. — są to kategorie zbyt wzniosłe aby tu je roztrząsać — lecz o jego jakości w codziennym, powszednim wymiarze. Zmiany, jeśli mają mieć sens, powinny tę jakość odmienić. Ale równocześnie, jeśli mają się urzeczywistnić, mogą wyrosnąć tylko z tej jakości, o której opowiada „Pustynia”. Sądzę, że reformatorzy, jeśli chcą trafnie rozeznąć sytuację i prawidłowo nią pokierować, powinni równie skrupulatnie badać możliwości kredytowe z RFN czy Pernambuko, światowe koniunktury na olej rzepakowy jak i książkę Siejaka. Jest to rzadki, zadziwiający, ale prawdziwy wypadek w naszej dostojnej i zacnej literaturze współczesnej.